

Ktos inny, gdzie indziej i z zupełnie odmiennych powodów użył tej słodkiej, pszczelej metafory. Chodziło o jazz, a dokładniej – o jazzowego kontrabasistę, który ponoć grał tak, jakby obejmował nagą dziewczynę z miodu... Dobrze powiedziane. Po ludzku.

Cóż można rzec o śpiewającej Marcie Bizoń? Na przykład, że to intrygujący wielce alt, mezzosopran lub też sopran. Że tembr głosu jest stalowy, albo – niczym puch – miękki. Że niebotyczne „góry” osiąga z taką samą łatwością, jak „doly” wręcz bezdenne. W końcu i to można dodać, że dykcja jej, nieprzyzwyczajenie nieskazitelna, idzie o lepsze z wirtuozowskim opanowaniem pracy przemy, oraz nie można nie dorzucić, że mikrofon nie sprawia jej najmniejszych nawet kłopotów. Stoi prosto, bez zbędnych podtekstów, czoło unosi wysoko, oko zaś jest ciemne i fundamentalnie wyraziste. To właśnie można rzec. I tysiące podobnie suchych relacji.

Przeglądając się śpiewającą Marcie Bizoń, pomyślałem jednak o czymś innym, o czymś więcej być może... Przypomniała mi się owa Cortazarowska „dziewczyna z miodu” i pomyślałem, że Bizoń to jakby – aktorka z miodu. Aktorka, nie pieśniarka... Oto bowiem śpiewa, ale z tą akuratał świadomością, że

Paweł Głowacki

Dziewczyna z miodu

pieśń, to, jak powiadają, teatr w pigułce, życie w stężeniu, namiętność na bardzo krótkim dystansie. Kto wie, może ta świadomość jest niniejszym ważniejsza, niż fakt, że talent Bizoń jest rodem z ula?

Chyba tak właśnie trzeba rzec. Trzeba, albowiem „Pokochaj mnie...” to nie solowy występ Marty Bizoń. „Pokochaj mnie...” to spektakl kabaretowy, śpiewano-mówiony, którego zaledwie częścią jest Bizoń. Problem w tym, że najnowsze przedstawienie Teatru Ludowego rozpada się jakby na dwie części – na śpiewającą Bizoń oraz na całą resztę, która, w skrócie rzecz ujmując, gra, że śpiewa; na szczeroci i brak szczeroci; na odrobinę prawdy i ogrom jej emblematów; na prostą treść i zdecydowanie kulejącą formę; na łzę i jedno wielkie przymrużenie oka. Słowem – na teatr i na pastisz teatru, który to teatr zwał się kiedyś, jak i dziś, kabaretem.

W samym przymrużeniu oka, czyli w tzw. graniu z dystansem, nie ma oczywiście niczego złego. Zwyczajna teatralna forma, jak każda inna. Brak

szczeroci to przecie również może być treść. Gorzej, gdy ów dystans jest kiepsko reżyserowany. Niestety, ten właśnie przypadek zachodzi w „Pokochaj mnie...”.

Oto mamy na scenie kabaret sprzed, powiedzmy, pięćdziesięciu lat. Dwa stoliki, przy stolikach goście, w kącie orkiestra, kierownik roznosi piwo, wódeczkę i żupę, dwie dzierlatki śpiewają niegdysiejsze szlagiery, w ogóle – miło jest... Bardzo szybko okazuje się jednak, że to nie jest niegdysiejszy krakowski kabaret, to dzisiejsza nim zabawa, współczesne sceniczne żonglowanie tamtejszymi klimatami, nawykami, zachowaniami, całą specyfiką czasu i miejsca. I tutaj właśnie tkwi rodzący nudę błąd – w zbyt łatwym, żeby nie powiedzieć banalnym, kreowaniu lokalnego kolorytu. Postacie bardzo szybko stają się oczywiste, płaskie jakby, bo ja wiem... z wypisów szkolnych, dotyczących krakowskiego mieszczaństwa wyjęte może. Ich sceniczne gesty i czyny są, że się tak wyrażę, cokolwiek rozszochrane. Dość spory tutaj

panuje bałagan, dowolność i stapanie po najmniejszej linii oporu się szerzy. Co, na ten przykład, robi dama, żeby być damą prawidłową? Dama, gdy mówi, to zaciąga jak się patrzy. Można by właściwie krok po kroku prześledzić niezręczności tego spektaklu, ale po co właściwie?

Dość, że zasada ich, jak na mój gust, jest dość jasna. Otóż – owszem, aktorzy parodiują postacie i czasy, tyle że nie do końca wiedzą, jakie postacie i jakie czasy. Pozostaje im usilna chęć generowania zabawy, co momentami wychodzi, ale generalnie – w żadnym wypadku. Nie wystarczy mrużyć oka, trzeba jeszcze możliwie precyzyjnie ustalić, do czego się mruża mianowicie. Zabawa w ciuciubabkę bez babki prowadzi nieuchronnie i zaledwie do nieszczęsnego ciuci. Niestety...

Całkiem możliwe, że pani reżyser poszła w odwrotnym kierunku zupełnie niepotrzebnie. Doszła do piosenek, konstruując wcześniej jakąś namiastkę teatru rodzajowego. Stał bodaj brzmia one dość

głucho i niezręcznie. I stąd właśnie Marta Bizoń, znajdując teatr w samym śpiewaniu, dźwięczy na tym tle dość dziewczęcznie. Jakby przybyła z innej planety...

Najśmieszniejsze zaś jest to, że Bizoń wcale nie wyklucza całej reszty, wyklucza tylko t a k zainscenizowaną resztę. Najlepszym tego dowodem Tomasz Wysocki w doskonale ascetycznej postaci komunistycznego dziennikarza „Głosu Ludu”. Jest jakby wystrugany z drewna.

Oto dziewczyna z miodu śpiewa o miłości... Oto Pinokio Władzy Ludowej zjada w kącie przyniesioną z domu kanapkę, pewnie z pasztetową... Piękna wstriać! Żałować należy, że całość nie była równie dyskretna. Ale i nadzieję mieć należy. W końcu „Pokochaj mnie...” to nie koniec. To początek teatralno-kabaretowej serii, wymyślono celnie dla nowej sceny Teatru Ludowego. Teraz chodzi tylko o to, by całość nie poszła na rozkurz.

Teatr Ludowy Scena „Pod Ratuszem”, Joanna Olczak-Ronikier „Pokochaj mnie...”; reżyseria Barbara Krasinińska, scenografia Małgorzata Zwolińska, opracowanie muzyczne Jerzy Kluźnowicz, współpraca choreograficzna Tomasz Gołębiowski